

FENOMEN KATECHEZY

Dzieje Kościoła są historią ewangelizacji. Wszystko, co się zdarzyło w ciągu XX wieków tworzy sumę wysiłków kolejnych pokoleń, by prawda Dobrej Nowiny trwała i zyskiwała uznanie. „Głosimy śmierć Twoją, Panie Jezu. Wyznajemy Twoje zmartwychwstanie i oczekujemy Twego przyjścia w chwale”.

Fundamentem ewangelizacji jest katecheza. Ta podstawowa, związana z ustnym pouczeniem, wypełniającym nakaz samego Pana Jezusa: „Idźcie więc i nauczajcie wszystkie narody...”. I ta nadzwyczajna, wsparta nadprzyrodzoną pomocą Bożą, ujawniająca się w świadectwie wyznawców i męczenników. I ta ukryta, będąca tajemnicą nawróceń, zawierzeń i miłosierdzia. I ta codzienna, zawarta w życiu prawdziwie chrześcijańskim, w wielości zwykłych, a przecież często trudnych wyborów. I ta powszechnie dostępna przez kult i liturgię, życie sakramentalne oraz żarliwą modlitwę. To wszystko jest katechezą, o której doświadczeniu traktuje to rozważanie.

Wprowadzenie

Po *Vaticanum II* na temat katechezy powiedziano już wiele. Jak chyba nigdy przedtem w dziejach Magisterium. Określono jej naturę, metody i specyfikę. Wyodrębniono gatunki oraz proporcję wobec całości ewangelizacji. Pojawiły się dokumenty omawiające zasady i cele oddziaływania. Za nimi przysły refleksje szczegółowe. Indeks potrzeb, dydaktyka i metodyka, programy, treści. W obliczu odstępstw, sekularyzacji i laicyzacji najwyższą rangę zyskało pytanie: co czynić, aby staranie katechizacyjne było jak najskuteczniejsze? By przynosiło jak najżywsze efekty? Kwestia ta absorbuje umysły i serca, a jako troska nie zniknie, aż do skończenia świata.

Również w rzeczywistości polskiej, tak szybko się zmieniającej, iż trudno objąć spojrzeniem całość zjawisk i przemian, pytanie o kształt katechezy stanowi treść podstawową wszelkiej refleksji duszpasterskiej. A jest to pytanie naglące, stawiane głosem dobitnym, widzimy bowiem bieg zdarzeń dotąd nie przewidywany i zanik skuteczności tradycyjnych metod pastoralnego oddziaływania.

Demokracja przyniosła wolność. Lecz jej oblicza mają różne imiona, w tym również samowoli w świecie spojrzeń i zasad. Sześć lat III Rzeczypospolitej weryfikuje duszpasterski dorobek kilku powojennych pokoleń. I chociaż bilans w sumie wypada pozytywnie – nie brak zjawisk niepokojących oraz przesłanek świadczących o zawężaniu się pola żywego Kościoła.

Jawią się zatem dyskusje wokół środków i metod współczesnej katechizacji w Polsce. W gąszczu proponowanych odpowiedzi gubią się nawet specjaliści. Po prostu jest ich zbyt wiele. Tymczasem, przy powszechności nauki religii w szkole, zanika in-

stynkt religijny młodego pokolenia. Dowodnie wyraża to redukcja praktyk kultowych, zwłaszcza zaś rzedniejące szeregi młodych ludzi uczestniczących w niedzielnej Mszy św. Nie mówiąc już o świadomym korzystaniu z sakramentów.

Co zrobić, by powstrzymać te i inne procesy, by przeciwstawić się trendom płynącym ze zlaicyzowanego Zachodu? Jak ocalić religijność przyszłych pokoleń Polaków? Są to pytania zasadnicze, koniecznie domagające się odpowiedzi. Nie chcąc powiększać listy koncepcji teoretycznych postanowiłem po prostu sięgnąć do retrospekcji. Własnej, częściowo pamiętnikarskiej refleksji wokół fenomenu katechezy. Być może te osobiste doświadczenia wzbogacą czyjeś widzenie i przybliżą rozstrzygnięcie pytań podstawowych.

U źródeł samookreślenia. Dom rodzinny

Staram się być człowiekiem religijnym. Przyznaję, że tę definicję, jako najlepiej mi odpowiadającą, przyjąłem za kimś znacznie większym: Karolem kardynałem Wojtyłą. Pytany o światopogląd odpowiedział krótko: *Homo religiosus sum*. I to właśnie jest tak. Uwzględniając proporcje nie powtórzę, że „jestem”, tylko że się staram. Fakt mojej religijności, w ostatecznym rachunku zawdzięczany łasce Bożej, w płaszczyźnie przyrodzonej wywodzę z dwóch źródeł. Pierwsze to dom rodzinny. Drugie zaś – wychowawcy, do których przede wszystkim zaliczam zakon Synów św. Ignacego. Oba oddziaływania spłoty się w jedną całość tworząc w mym życiu prywatny „fenomen katechezy”. Omawiam je po kolei.

Najpierw więc dom rodzinny. Odkąd sięgam pamięcią, czyli od wczesnego dzieciństwa, życie religijne miało w naszej rodzinie charakter normalny i naturalny. Po prostu było wpisane w kontekst całości zjawisk. Pacierz, obecność w kościele, modlitwa przed jedzeniem, przestrzeganie postów, obraz religijny na ścianie, potem „chodzenie na religię” itp. zachowania były czymś oczywistym, co nie domaga się tłumaczenia. Również rozmowa o Panu Bogu albo zasadach wiary pojawiała się spontanicznie, tak, jak codzienne sprawy. Taką atmosferę tworzyli moi rodzice, ale wspomagała ich także starsza generacja. Różnice w życiu religijnym mieszkających z nami babci i cioci sprowadzały się tylko do wyboru najczęściej odwiedzanej świątyni. W pobliżu były trzy. Babcia upodobała sobie kościół św. Krzyża; ciocia niezmienną wiernością darzyła salezjanów; my – rodzice i dzieci – chodziliśmy „do jezuitów”.

Z szczególnych zwyczajów religijnych utkwily mi w pamięci nabożeństwa majowe i pacierz na wakacjach. Rodzice pracowali dość długo, a my – wówczas trójka dzieci – byliśmy jeszcze zbyt mali, by sami wędrować wieczorem na tradycyjne nabożeństwo ku czci NMP. Odprawialiśmy je w domu. Na staroświeckim kredensie, który podczas okupacji służył jako ołtarz ukrywającemu się u dziadków księdzu, ustawialiśmy figurkę Matki Bożej, świeczki oraz pęki tanich, majowych narcyzów. Potem zaś klękaliśmy razem, odmawiając Litanię Loretańską i zwrotką „Cześć Maryi” kończąc domową liturgię. W niedzielę do modlitwy włączali się rodzice. Tak było przez lat parę, przez cały okres dzieciństwa.

Drugim moim wspomnieniem jest pacierz na wakacjach. W pięcioosobowej rodzinie nigdy się „nie przelewało”, ale wspólne wakacje co roku były na medal. Wyjeżdżaliśmy wszyscy, najczęściej na Podbeskidzie i wówczas nasi rodzice byli przez miesiąc dla nas. Jednym z rodzinnych zwyczajów były częste spacery do odległego kościoła. I tam – wieczorny pacierz, na głos, całej rodziny. A prowadziły go dzieci. Minęło już od tych czasów lat z okładem trzydzieści, a ja dotąd pamiętam cichę, przytulne wnętrza drewnianego kościółka w Jurkowie i nas, klęczących razem, tuż przed Najświętszym Sakramentem.

Kiedy byliśmy już starsi religijne wychowanie rodziców zostało zindywidualizowane, dostosowane do potrzeb każdej latorośli. Rodzice w pewnym stopniu podzielili się rolami. Sprawy zasadnicze – treść wiary, dogmatyka, obrona stanowisk moralnych lub wyjaśnianie wątpliwości – to była domena ojca. Długie, poważne rozmowy, często zarywające nocny odpoczynek. Samo zaś życie religijne – pacierz, Msza św., spowiedź – nad tym czuwała mama. Ona też pilnowała naszego rachunku sumienia, przypominając dzieciom problemy i przewinienia. W miarę upływu czasu w wychowaniu religijnym coraz większy udział mieli też inni ludzie. W naszych, prywatnych dziejach byli to przede wszystkim ojcowie jezuiti.

W kręgu wychowawców. Zakon oo. Jezuitów

Zakon św. Ignacego pojawił się w moim życiu również za sprawą rodziców. Dzięki ich przyjacielskim związkom z o. Wacławem Niedźwiadkiem, najpierw superiorem Domu, a potem długoletnim proboszczem parafialnego kościoła. Z okresem tym wiąże się dla mnie czas katechezy systematycznej. Widzę dziś trzy płaszczyzny, na których przebiegała. Pierwsza to „nauka religii” – rzecz jasna w obrębie parafii. Najpierw prowadzona przez siostry, potem, od VI klasy już wyłącznie przez księży. Pamiętam dwa cykle, czy raczej dwie osie programowe. Apologetykę i wykład historii Kościoła. Program bazował na własnych rozwiązaniach zakonnych i był – wedle miar dzisiejszych – dość trudny, lecz dawał rzetelną wiedzę. A także klucz do interpretacji wielu „kontrowersyjnych” zagadnień. Żyliśmy jednak w czasach szczególnych, których obyczajem i normą były rezolucje samorządów uczniowskich szkół podstawowych, pod naciskiem sekretarzy POP-u potępiających np. list biskupów polskich do Episkopatu Niemiec. Po prostu dojrzewało się szybciej. I trzeba było wybierać. Przed oczyma pamięci przesuwają się postaci prefektów – wykładowców. Ojciec Karwel, Kaszycki, Ciesarczyk, Dziegłowski. W różnych innych przekrojach spotykaliśmy też słynne zakonne osobowości. Ojców: Tomasza Rostworowskiego, Huberta Czumę, Stefana Miecznikowskiego...

Drugą płaszczyzną katechezy była ministrantura. Wtedy jeszcze nie nazywana Liturgiczną Służbą Ołtarza. Prawdziwą doskonałość nadał jej o. Kaszycki. To była cała epoka w moim dziecięcym życiu. Służbę ministrancką zacząłem w dobie przedsoborowej, jeszcze w okresie łacińskiej Mszy św., wykuwając „na blachę” obcojęzyczne formułki. A potem krok po kroku zgłębiałem tajniki świętych obrzędów, wspinając się po szczeblach ministranckiej hierarchii i coraz lepiej rozumiejąc sens liturgicznej posługi. Ministranci ojca Kaszyckiego to dwustu chłopców, zorganizowanych na wzór skautingu. Zasady czysto harcerskie, bogato wyposażona salka, wycieczki, obozy, wyprawy. I oczywiście „działalność podstawowa”. Kontrolowana, sprawdzana, stale doskonalona. Do dziś pamiętam moment, kiedy o. Tomasz Rostworowski przerwał Liturgię Słowa ucząc mnie skłonu głowy przed tabernakulum: „Pochyl Jasiu głowę z szacunkiem. To nie przede mną, a przed Panem Jezusem!” – łagodnie korygował rutynę „starego” ministranta zamierzającego przystąpić do przeniesienia mszału.

Piękne to były lata. Długie godziny nabożeństw, wbogaczone nie tyle może bezpośrednią modlitwą, co poczuciem wtajemniczenia, ważności chwili i obserwacją ciekawych osobowości kapłanów. Nerwowy ojciec Wilczyński, który przeżył niemiecką masakrę jezuitów w Warszawie, pośpiesznie odprawiający długą wówczas liturgię; wspinały ojciec Tomasz Rostworowski, wychowawca kilku pokoleń inteligencji; przemily ojciec Czuma; wesoly ojciec Figarski, który raz szurnał mszałem zagapionemu chłopcu, że ewangeliarz mało nie zleciał z ołtarza; surowy ojciec Furmanik, wstrząsająco, z niezwykłym przejściem celebrujący moment Przejścia; ojcowie Niedźwiadek, Bogucki, Gonddek, Orsaczek, Bertosz... I oczywiście Kaszycki – opiekun, przyjaciel, pre-

fekt. Przesuwają się przed oczyma długie szeregi zakonników. Tych poznanych najwcześniej i tych spotkanych później. Kochanych, szanowanych, traktowanych podobnie, jak się traktuje rodziców... Dużą rolę w życiu ministrantów odgrywali też bracia zakonni. Oni mieli z natury najwięcej z nimi kontaktu i wspólne sprawy w zakrystii. Kilku pamiętam do dzisiaj. A zwłaszcza niezapomnianą postać brata Władysława Kruczka, wielkiego przyjaciela ministranckiej młodzieży. Kilkuletnie wtajemniczenie ministranckie, prócz szkoły obowiązkowości, dawało bliski i bezpośredni kontakt z sacrum. Niejeden potencjalny łobuziak „wyszedł na ludzi” dzięki aktywnej działalności u stopni ołtarza.

Trzeci nurt katechezy miał w moim życiu religijnym charakter najbardziej osobisty. Wiąże się bowiem ze sztuką kierownictwa duchowego i prowadzenia spowiedzi. Jezuita wychowanie przez spowiedź opanowali do perfekcji. Przede wszystkim dostosowując poziom pouczeń duchowych do możliwości wieku rozwojowego dziecka.

Zasadą, którą pamiętam z lat mojej katechizacji było podtrzymywanie instytucji prefekta. Do niego lub samego ojca superiora chodziło się do spowiedzi. Bywało, iż inny kapłan odsyłał młodzianka właśnie do opiekuna, jakim był wówczas prefekt. Gwarantowało to adekwatność i ciągłość kierownictwa. A także ewolucję pracy nad sobą.

Później, w okresie szkoły średniej, kierownictwo duchowe wybierało się świadomie. Osobowość penitenta spasowywała się z dyspozycjami spowiednika; bezinteresowna przyjaźń z zakonnikiem pozwalała pogłębiać samoświadomość religijną. Do wielu konfesjonałów ustawiały się tłumy. Legendarnym wręcz spowiednikiem, za mego dorosłego już życia, był ojciec Franciszek Przybylski. Mistrz życia duchowego, który każdemu penitentowi poświęcał indywidualne staranie, odkrywając arkana ignacjańskiej duchowości. Sławą mistrza łagodności do dziś cieszy się inny niewolnik konfesjonału – ojciec Kazimierz Kraśniewski. Mnie w pamięć mocno zapadli: Wacław Niedźwiadek, Jan Świś, Tadeusz Pawlicki, Edmund Wirkus, Jan Szamburski i Jakub Widmański... Tych wybierałem najczęściej, wszystkich i tak nie wymienię.

Cechą spowiedzi jezuickiej jest jasność rozstrzygnięcia. Spowiedź jest bardzo męska. Prosta, przenikliwa i celna. Nie ma niedomówień, są za to odpowiedzi na wszelkie pytania. I nie istnieją standardy. Odpowiedź jest zwarta, lecz ukierunkowana indywidualnie. A jeśli penitent chciałby – ma możliwość uzyskania stałego kierownictwa. Nigdy nie spotkałem przypadku, by było mu odmówione. Jest rzeczą nader szczególną tożsamość zakonnej formacji. Kiedy po wielu latach od młodzieńczych doświadczeń pojawia się w jakimś jezuickim kościele – spotykam zawsze tę samą precyzję i wnikliwość duchowej posługi. I dobrze znaną gotowość udzielenia pełnej, potrzebnej pomocy.

Próba podsumowania

Minęły lata. Próbuję dziś zsyntetyzować swoje prywatne doświadczenie katechezy. Fenomen wychowania religijnego, które zawdzięczam rodzicom i zakonowi Jezuitów. Patrząc przez pryzmat doświadczeń sadzę, że punktem wyjścia jest zawsze dom rodzinny. On dookreśla szanse, czy raczej pozycję na starcie. Jej brak można wprowadzić z dużym trudem nadrobić. Jednakże jej istnienie zapewnia od razu „fory”.

Drugi element wiąże się z doświadczeniem Kościoła. Jeśli zostaje on odebrany jako wspólnota, która przyjmuje i ciebie (to właśnie umieli pokazać mi jezuita) – w naturalny sposób traktujesz go jak rodzinę. Przeżycie rodziny – Kościoła jest niebywale ważne, zwłaszcza w przypadku dziecka.

Trzecie zagadnienie to funkcja. Zadanie do spełnienia. W opisywanej historii stanowiła je służba ministrancka. Masz zadanie. Zatem masz swoje miejsce i jesteś potrzebny.

Kolejny temat to wiedza. Solidny stan świadomości kulturalnej; formacja religijna poparta informacją. Pewność stanowiska i umiejętność jego obrony przed atakami.

I wreszcie płaszczyzna piąta. Formacja duchowa, szczególnie budowana przez praktyki religijne: modlitwę, sakrament Eucharystii, mądrą, cierpliwą spowiedź. I kierownictwo duchowe. Pogłębianie świadomości i życia wewnętrznego młodego człowieka.

Rodzina – wspólnota – zadanie – wiedza – formacja. Swoista kwintesencja uwarunkowań katechezy. W moim doświadczeniu przeżytej na tyle głęboko, że mogę powtórzyć słowa wypowiedziane na początku. Staram się być człowiekiem religijnym. I chciałbym takim pozostać.

Szczecin, w styczniu 1995

Jan Antoni Kłys